

wię się na każde wezwanie, o ile tego zajdzie potrzeba — rzekł Johnson i wyszedł.

Zszedłszy ze schodów, zobaczył Johnson na przeciwnym trotuarze człowieka, palącego cygaro. Uszedł zaledwie ze dwadzieścia kroków, a ów mężczyzna zapiął szybko palto i poszedł za nim.

ROZDZIAŁ XIV.

Pułkownik Desmond.

Upłynęło może pięć minut po wyjściu Johnsona, kiedy inspektorowi zameldowano nowego gościa. Był nim pułkownik Hugo Desmond.

— Poproście tego pana — rzekł inspektor do portjera, myśląc sobie: Jak to się jednak szczególnie składa. Szkoda, że chwilę dłużej nie zatrzymał mister Johnsona; oszczędziłoby mi to czasu i trudu. A toby jednak było ciekawe, gdyby odwiedziny pułkownika odnosiły się choć w części do tego Anglika.

Wszedł pułkownik, ubrany w długi płaszcz, w ciepłych rękawicach, trzymając w jednej ręce jedwabny kapelusz, w drugiej laskę ze złotą gałką. Siwiejąca jego broda skrzyła się od mrozu, a oczy błyszczały mu gorączkowo.

— Czy pan inspektor Byrnes? — zapytał.

— Do usług. Proszę, niech pan siada, panie pułkowniku. Cóż pana do mnie sprowadza?

— Mówią, panie inspektorze, że kto sam sobie rady już dać nie może, ten u pana zawsze pomoc znajdzie — rzekł pułkownik z uśmiechem. Zginęła mi jedna rzecz, dla mnie z powodów sercowej natury ogromnie wartościowa, mianowicie pamiątka po moim przyjacielu. Zależy mi na tem, aby ją w jakibądź sposób odzyskać. Może mi pan w tej sprawie co pomoże.

— O ile będę mógł. A cóż to za rzecz?

— Srebrna papierośnica rosyjskiego wyrobu z monogramem na jednej pokrywie.

Przy tych słowach inspektor nawet drgnieniem powiek nie zdradził się, że ta właśnie papierośnica ogromnie jego samego interesuje. Zapytał więc po krótkim namyśle:

— Z jakich liter składał się monogram?

— Z początkowych liter mego nazwiska „H. D.“.

— H. D. — rzekł inspektor sam do siebie. — Może to jaka inna? Myśmy przecie czytali L. H. No, ale to może być wina rytmownictwa. — Głośno zaś zapytał:

— Duża to była papierośnica?

— Trzy, może cztery cale długa, a ze trzy cale szeroka. Była zrobiona z masywnego srebra i wewnątrz poślacana. Niżej 50 dolarów takiej by się nie dostało.

— Kiedy i w jaki sposób panu zginęła?

— Odpowiedź na to pytanie nie jest wcale tak łatwa, jakby się zdawało. Mogłbym, zaiste, powiedzieć, że papierośnica dopiero dzisiaj znikła mi zupełnie z oczu.

— Czy ją pan zgubił, czy ją też panu skradziono?

— Zdawało mi się, że wiem, gdzie się znajduje, ale kiedy poszedłem, aby ją odebrać, dowiedziałem się, że mnie uprzedzono.

— Jakże pan sądził, gdzie ona się mogła znajdować?

— Hm... w pewnym lombardzie.

— Jeżeli pan sobie życzy, abym panu pomógł do odzyskania papierośnicy, panie pułkowniku — rzekł inspektor sucho — to musi mi pan opowiedzieć całą historię ze wszystkimi, najdrobniejszymi nawet szczegółami. Jeżeli pan z jakichbądź powodów tego nie robi, to niema co mówić dalej.

— Historia to rzeczywiście ciekawa, ale muszę ją panu opowiedzieć. Było to tak. Przed czterema może tygodniami, jakoś przy końcu zeszłego miesiąca, zginęła mi papierośnica po raz pierwszy. Zabrano ją ze szuflady mego biurka.

— Nie wie pan, kto ją wziął?

— Podejrzenie moje padło naprzód na jednego z członków mojej własnej rodziny, nie miałem jednak wcale pewnych dowodów, więc nie mogłem śledzić dalej — to też co do tego, to nie mam pewności. Celem moim było odzyskać papierośnicę za wszelką cenę, mniejsza o to, kto ją zabrał.

— Dobrze. A potem?

— Ogłosiłem to moje postanowienie i wkrótce potem doręczono mi kwit zastawniczy, wystawiony właśnie przy zastawianiu papierośnicy.

— Jaki numer miał ten kwit?

— Dziewięćset osiemdziesiąt trzy.

— A firma lombardu?

— Salomon Sibley.

— Znam go. A cóż pan potem zrobił?

— Udałem się dzisiaj rano do lombardu, oka-

załem kwit i oświadczyłem, że chcę wykupić papierośnicę. Właściciel lombardu obejrzał kwit — na twarzy jego malowało się dosadnie ogromne zdziwienie — poszedł do jakiejś drugiej osoby, a wróciwszy, powiedział mi, że papierośnica jeszcze przed kilku dniami została wykupiona.

— Jakżeż mogła zostać wykupiona, jeśli pan miał kwit?

— Ja się też o to pytałem Sibleya. On twierdził, że mężczyzna, który papierośnicę wykupił, miał również kwit zastawniczy, zupełnie się z książkami zgadzający. Naturalnie, on jest zupełnie spokojny, bo zdaje mu się, że on zrobił wszystko, co do niego należy. Dodał zaś, że mój kwit wygląda zupełnie tak samo, jak kwit tego, który papierośnicę wykupił, że więc jeden z nas musiał kwit sfalszować. Ponieważ zaś ja wiem doskonale, że mój kwit jest prawdziwy, więc ten drugi musiał być sfalszowany.

— Kwit zastawniczy można łatwo sfalszować — zauważył inspektor — ale postarać się o dokładny numer i dokładny opis zastawu, to już rzecz trudniejsza. Ma pan może pojęcie, w jaki się to sposób stało?



...Porozumiał się oczyma ze subjektem, podszedł ku Johnsonowi, położył mu rękę na ramieniu i rzekł uprzejmie: Może pan pozwoli ze mną....

— Nie mam pojęcia, dalipan — rzekł pułkownik stanowczo.

Inspektor myślał chwilę, wreszcie zapytał:

— Kiedy tę papierośnicę zastawiono u Sibleya?

— O ile wiem, 31 grudnia.

— Więc pozwoliłeś pan, aby ona tam tak długo leżała i nie śpieszyłeś się z jej wykupnem?

Pułkownik zagryzł wargi.

— Na razie jej nie potrzebowałem. Główny mój cel był osiągnięty, wiedziałem bowiem, gdzie się znajduje. Posiadając zaś kwit zastawniczy w kieszeni, mogłem być pewny, że mi już drugi raz nie zginie. Zresztą interesy tak mnie ciągle zajmują, że dopiero dzisiaj postanowiłem ją wykupić.

— To jasne — rzekł inspektor, udając, że nie zauważył chwilowego zmieszania się pułkownika. — Ile dni upłynęło od czasu zastawienia papierośnicy, zanim pan dostałeś kwit zastawniczy w swe ręce?

Pułkownik zaczerwienił się.

— Dokładnie sobie tego przypomnieć nie mogę; może trzy, może cztery dni.

— To wystarczało, aby sobie tymczasem sporządzić fałszywy duplikat kwitu. Najprostszym wyjaśnieniem byłoby przypuszczenie, że osoba, która

zabrała i zastawiła papierośnicę, kazała sobie zrobić duplikat, zanim kwit panu oddała.

— Wątpię bardzo, czy ta sprawa tak się miała — mówił pułkownik. — Zresztą sfalszowany kwit przedłożono Sibleyowi dopiero niedawno, to znaczy, że od czasu, jak prawdziwy kwit był w mojem posiadaniu, upłynęło już dni parę. Gdyby sfalszowanie było dziełem osoby, która papierośnicę zabrała, to przecież byłaby ona na mocy sfalszowanego kwitu od razu zastaw wykupiła.

— Można i w ten sposób rozumować — rzekł inspektor. — Wobec tego więc musiało w tej sprawie brać udział troje ludzi. Pierwszy pan; potem ktoś z pańskiego domu, który papierośnicę zabrał, a trzecia ta właśnie osoba, która kwit sfalszowała i na mocy tego kwitu zastaw wykupiła. Ta ostatnia była u Sibleya, więc i on i jego pomocnik musieli ją widzieć. Czy podano panu rysopis tej osoby?

— Miał to być starszy mężczyzna z brodą. Subjekt twierdził, że był przekonany, iż to ja sam jestem. Mówił on, że mnie sobie doskonale przypomina.

Inspektor spojrział w oczy pułkownikowi i rzekł spokojnie:

— Więc subjekt pana znał? O tem mi pan nic nie mówił. Jeżeli pana uważał za fałszerza, to musiał być poprzednio już pana widzieć.

Na te słowa pułkownik był zupełnie nieprzygotowany. Nic dziwnego więc, że na chwilę stracił dotychczasowy spokój. Opanował się jednak i szepnął:

— Zdaje mi się, że się źle wyraziłem. Chciałem powiedzieć, że gdy mnie subjekt ujrzał, był przekonany, iż ja jestem tym samym, który zastaw na mocy sfalszowanego kwitu wykupił.

Inspektor śmiał się w duchu z tego tłumaczenia. Zaczynał on teraz sprawę pojmować. Widocznem było, że pułkownik coś ukrywał, mianowicie nie chciał powiedzieć, że on sam papierośnicę zastawił. Szef policyi był o tem mocno przekonany, nie miał jednak dotychczas pewnych podstaw do utwierdzenia się w tem mniemaniu. Na razie postanowił więc postarać się o wyjaśnienie innej sprawy.

— Teraz pana rozumiem — rzekł: — widocznie fałszerz musiał być z wyglądu podobny do pana, albo, co więcej prawdopodobne, przebrał się w ten sposób, aby mógł uchodzić za pana. Może nam się uda dowiedzieć, kto to taki. Pan jesteś szefem jednego z tutejszych zakładów przemysłowych, jeśli się nie mylę.

— Tak jest, ale cóż to ma wspólnego z moją sprawą?

— Stawiam hipotezę, panie pułkowniku. Rzecz naturalna, że w zakładzie pańskim zatrudnionych jest mnóstwo ludzi, z których niektórzy znają pana osobiście. Może pan z którym ze swoich podwładnych żyje bliżej?

— Rzeczywiście, ale tylko z jednym, do którego mam zupełne zaufanie — odrzekł pułkownik po namyśle. — Cenię go bardzo wysoko, zarówno jego zdolności fachowe, jak jego samego.

— Mogłbym pana prosić, by mi pan wymienił jego nazwisko? — przerwał inspektor.

— Nazywa się Robert Johnson; jest to rodowity Anglik, który przed ośmiu, może przed dziewięciu miesiącami został do naszego zakładu przyjęty i to dzięki znakomitym świadectwom, jakimi się legitymował. Podejrzenie przeciw niemu niema jednak najmniejszej racji bytu. Niema zresztą żadnej okoliczności, któraby pozwalała przypuszczać, że i on w tę sprawę wplątany.

(Ciąg dalszy nastąpi).